Ner 27. Kraków 9 października 1869. Rok IV.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku

Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

DO MŁODÉJ PANIENKI.

Gdyby kto spytał, co nam daje zdrowie,
Co uszlachetnia i co nas zbogaca —
Pewnie mu każdy to samo odpowie:
Praca!

O! bo gdzie praca
Na straży stoi,
Życie się dwoi,
Czas skraca.

Kto z igłą, z piórem pracuje, kto czyta,
Od tego głód się odwraca....
I wtedy nawet, gdy młodość przekwita,
Zakwita praca.

Praca i spokój z sobą nierozdzielne,
Bo jedno drugie ozłaca;
Więc jedno tylko będzie nieśmiertelne:
Dla siebie i drugich praca.

Maryniu, życie twe w pierwszym kwiecie
W rodzinne kółko się zwraca;
Szczęścia, którego wyglądasz w świecie,
Gruntem, podstawą jest praca.

Gabryela Puzynina.



Układ i rysunek Antoniego Zaleskiego.

EPICHARIS.

(Ciąg dalszy).

Ten nieprzewidziany wypadek, mówi jeden z historyków spółczesnych [1]), wpłynął wiele na przyspieszenie rozwiązania. Spólnicy Epicharis, nie ufając już utrzymaniu tajemnicy [2]), przyszli do przekonania, że jeden tylko pozostaje im środek wyplątania się z biedy — skończyć wszystko jednym, śmiałym ciosem. Bojaźń pewnego niebezpieczeństwa dodała im nakoniec rezygnacji i odwagi, **której nie mogli** w sobie dotąd wyrobić, nawet puszczając się na tak ryzykowne przedsiewzięcie. Nigdy nie przebierając w środkach, dziś gotowi byli na wszystko, by tylko rozwiązać zagmatwany węzeł. Z początku ułożono plan działania do kampanii,

[1]) *Kudriawcow.* — „Rzym. kob."

[2]) *Tacyt* dziwi się, jak między takim mnóstwem ludzi wszystkich stanów, różnego wieku, płci, biednych i bogatych należących do spisku, wszystko pokryte było głęboką tajemnicą. XV. 54.

gdzie widać i Epicharis w tym celu jeździła na rekonesans, przed swém uwięzieniem. Tam bowiem w bliskości Baij Pizon posiadał śliczną willę, do któréj Neron lubił przyjeżdżać *incognito*, prawie bez żadnéj świty, dla przepędzenia dni kilku swobodnie, bez zbytecznych świadków. Póki on gościł tutaj, jego życie można powiedzieć, znajdowało się w ręku gospodarza. Pizonowi dość było zażądać, i dom jego zamieniłby się w pułapkę dla wesołych gości, lecz gdy mu zrobiono tę propozycję, odrzucił ją, bądź nie chcąc naruszyć praw gościnności, bądź téż z innych mniéj szlachetnych pobudek [1]). Wtenczas postanowiono zadać cios cezarowi w samym Rzymie, i skorzystać w tym celu ze świąt Cerery, mających wkrótce nastąpić. A że święta te obchodzono publicznemi zabawami, w których brał udział i cezar, a nawet lubił mieszać się z tłumem, zdawało się więc, że niepodobna wybrać stosowniejszéj chwili, ażeby napaść na nieprzygotowanego i zadać mu cios niespodziany. Zresztą spiskowi nie myśleli w tym razie o nowym planie, i wzięli sobie za wzór wiadome wszystkim działania morderców pierwszego cezara.

Na ogólnéj radzie spiskowych, było postanowionem, ażeby Plauzyjusz Lateran, silny i urodziwy, podszedł ku Neronowi, niby prosząc jałmużny, rzucił się w błagającéj postawie na kolana, i nagle obaliwszy go, przyparł do ziemi. Wtenczas wojenni trybuni i centurjani, biorący udział w spisku, rzucą się na niego ze wszystkich stron i licznemi ciosami położą na miejscu. Scevin, o którym już wspominaliśmy, brał na siebie honor pierwszego ciosu, chwaląc się zabójczą siłą swego sztyletu, który był poprzednio poświęcony bogom, i znajdował się w jakiejś etruskiéj czy téż ferentskiéj świątyni. Główną rolę zostawiono Pizonowi, oczekując spokojnie chwili, gdy inni skończą z Neronem, on nietracąc czasu, powinien był udać się wraz z Fenjusem Rufem do obozu Pretoryjanów, zawiadomić ich o tém co zaszło i zjednać ich sobie wszelkiemi środkami i obietnicami. A że z dwóch projektów Ruf miał największe zaufanie wojska, to widocznie, nie mogło być najmniejszéj wątpliwości, że na przypadek powiedzenia się pierwszego zamachu, pretorjanie nie wahaliby się dać swych głosów na korzyść Pizona, i natychmiast ogłosiliby go cezarem, a lud jak zwykle naśladowałby ich przykład. Plinijusz wspomina, że dla większéj pewności miała towarzyszyć Pizonowi Antonija córka Klaudijusza do obozu pretoryjanów, lecz Tacyt powątpiewa o prawdzie tego podania.

W całym zresztą zamachu, widać więcéj dobrych chęci i działania na chybił trafił, niż ostrożności, energii i wyrachowania. Były to przypuszczenia, które każdéj chwili mogły się zwrócić w drugą stronę i służyć dowodami przeciw samym zuchwałym spiskowym. Widoczny był brak zdolnego przewodnika. Epicharis była uwięzioną. Bez niéj Pizon i jego wspólnicy grali w nadzwyczaj niebezpieczną grę, w któréj Neron miał daleko więcéj szans wygranéj niż jego przeciwnicy. Rzym zaledwie zawachał się w swéj zawsze wątpliwéj wierności cezarowi, lecz prowincje, w najobszerniejszém znaczeniu tego słowa, ani myślały się poruszyć, a korzenie władzy daleko silniéj zagłębiały się w prowincji niż w samym Rzymie. Neron miał już w swoim ręku jedno narzędzie zdarcia tajemnicy, choć dotąd nie mógł z niego żadnéj wyciągnąć korzyści. Cóż, jeśliby wpadło mu w rękę drugie, bardziéj gadatliwe? Co stałoby się z Pizonem i jego wspólnikami, gdyby Neron zdołał uprzedzić ich zamach? Oni ze swéj strony nie znali względem niego żadnego miłosierdzia, czy przeniknąwszy tajemnicę, zechciałby być względem nich bardziéj wspaniałomyślnym? Jestto więcéj niż wątpliwém.

Zamyślając morderstwo, wspólnicy Pizona, sami podawali na się miecz kary w dłonie Nerona. Przygotowali mu zgubę, lecz jednocześnie pozbawiali się opieki prawa na przypadek swego odkrycia. Rzeczywiście cała kwestja zależała na tém, kto kogo uprzedzi? Pomimo że Pizon i jego towarzysze starali się skrócić ile możności swą drogę, pozwolili jednak wyprzedzić się drugim. Zdrajca, cokolwiek szczerszy niż nagle schwytana Epicharis, wyszedł z domu tegoż samego Scevina, który groził śmiertelnym ciosem cezarowi. Już wszystko było przygotowane do ułożonego dzieła, a nawet dzień nań naznaczony.

W wigilją, gdy wszyscy byli zajęci ostatniemi przygotowaniami, Scevin dał wspaniałą ucztę, po któréj miał naradę z Antonjem Natalisem, i następnie wydał niektóre rozkazy, między innemi polecił wyostrzyć swój stary lecz pewny sztylet, który czas pokrył już rdzą. Tegoż samego wieczora napisał testament, udarował wolnością kilku niewolników, innym rozdał pieniężne podarunki. Pomiędzy uwolnionemi, znalazł się jeden nazwiskiem Milich, który nie był zadowolony z saméj tylko wolności, lecz pożądał i większéj nagrody, a domyślając się ze stroskanéj miny swego pana, że zachodzi tu jakaś ważna przyczyna, czy też mając już poprzednio niejakie wiadomości o całéj sprawie, postanowił za radą żony [2]) donieść o wszystkiém Neronowi lub téż najbliższym jego radcom. Nie tracąc czasu wyszedł ze świtem z domu, i nie spostrzeżony przez nikogo, puścił się w kierunku Serwiljańskich ogrodów, w których Neron miał podówczas swoją rezydencję.

Zatrzymany u wejścia, gdy domagał się natychmiastowego wpuszczenia dla odkrycia cezarowi wielkiéj tajemnicy, odprowadzono go do Epafrodita, który z kolei przedstawił oskarżyciela Neronowi. Milich opowiedział wszystko co wiedział i czego był świadkiem, a dla większéj

[1]) *Tac.* 52.

[2]) *Tacit* wyraźnie mówi, że dopiero za radą żony, która dowodziła mu, że działania Scevina są tak wyraźne, że jeżeli nie on, to inny znajdzie się denuncjant — i Milich utraci tylko nagrodę — ten ostatni zdecydował się oskarżyć Scevina. XV. 54.

wiarogodności, pokazał sztylet, który uniósł jako *corpus delicti*, i który miał być narzędziem śmierci cezara.

(Dokończenie nastąpi).

LITWINKA.

Obrazek dramatyczny z czasów powstania 1863 roku,

w trzech Aktach,

napisał ***F. Łoziński.***

(Dokończenie).

SCENA II.

CIŻ SAMI I JAN.

JAN *(wybija drzwi i wchodzi pospiesznie).*

Panie spieszmy, nieszczęście, jesteśmy zdradzeni!

ZOSIA. Janie, wybaw nas, jesteśmy skrępowani.

JAN *(dobywając noża).* Chryste Panie! A zbrodniarze, zbójcy, mordować kobiety i starce! *(rozcina więzy Zosi).* Biedny mój aniołek! Święte, złote rączęta, co tyle łez biednym otarły, tyle pomocy i wsparcia rozdały; myśmy je wszyscy łzami wdzięczności zmywali, a te kainy skrępowali powrozem!

ZOSIA. Ojca uwolnij Janie *(klęka).*

Dzięki Ci Boże! że nasz z téj sromoty wybawiasz!

JAN. Biedne panisko moje! ręce pokaleczone.

ZAREMBA. Jak tu wszedłeś, przy drzwiach stali Moskale na straży?

JAN. Już ich nie ma, djabłu ich dusze posłałem! — No już.

ZAREMBA. Wracasz z lasu, co się tam stało? zdążyłeś na czas? o jakiéj mówisz zdradzie?

JAN. Zdążyłem panie. Wychodzili już na polankę, kiedy ich dopadłem. Za radą jegomości zawrócili w las nazad i zdążali w prawo do bagien; prowadziłem jako znający krótszą drogę.

ZAREMBA. Cóż daléj — mówże żywo!

JAN. Mijaliśmy już olszynkę, kiedy na raz właśnie od bagien, dano do nas ognia. Nie mogliśmy się sformować, bo woda tam w pas, i szliśmy tylko po kępkach — padło kilku, zanim dobraliśmy się w czysty las; lecz i tu panie przywitali nas z trzech stron kulami — byliśmy otoczeni dokoła!

ZOSIA. Janie, a Staś, a pan Władysław?

ZAREMBA. Trzeba się było do młynów przedzierać!

JAN. Tak też pan Władysław rozkazał. Żeby nie iść kupą, rozproszyliśmy się, i odstrzeliwając, dotarliśmy wreszcie do młynów. Było tam bezpieczniéj, ale niepodobna iść dalej — garstka naszych z taką ćmą Moskali nie wytrzyma długo, wybiją panie do nogi, bo nie ucieka żaden.

ZAREMBA. Więc trzeba im iść na pomoc.

JAN. Tak panie, trzeba na gwałt! Dopadłem konia, którego u gajowego wjeżdżając w las zostawiłem, popędziłem na wieś i ośmiu chłopców namówiłem, czekają już nas pewno pod krzyżem.

Sześciu ludzi we dworze, nas dwóch — razem szesnastu.

Myślę panie: żebyśmy razem poszli do młynów poza stawami, to zajdziemy tył Moskalom, damy ognia, pomyślą że oddział przybywa naszym na pomoc. Jeżeli nie uciekną, to przynajmniéj zrobimy zamieszanie, i przez to damy naszym czas do wycofania się z ognia.

ZAREMBA. Doskonała myśl.

JAN. Bylebyśmy ze dwie godziny wytrzymali z Moskalami, to rzeczywiście oddział w pomoc nadejdzie; bo pan Władysław wysłał do niego przewodnika z gajowym.

ZAREMBA. Więc biegnij z ludźmi co tchu! ja w ten moment za wami z dworskimi pospieszę. A broń?

JAN. Jest w lesie, zabierzemy po drodze, biegnę, tylko jegomość spiesz!

SCENA III.

ZAREMBA, ZOSIA.

ZAREMBA. Co z tobą Zosiu zrobić, gdzie cię ukryć! do Malinowskich nie czas odprowadzać. Ale nie ma rady, spiesz się, odwiozę cię konno, chodź na miłość Boską, tam nasi w ogniu!

ZOSIA *(opierając się).* Ojcze, przyrzekłeś że mnie nie oddalisz od siebie.

ZAREMBA. Dziewczyno! każda sekunda może kosztować życie którego z naszych, a nie zapominaj, ile się do tego twoja przyłożyła ręka.

ZOSIA. To też byłabym niegodną, gdybym się ja jedna ocalić pragnęła. Ojcze, tam nie pójdę, ale tu was czekać będę, a jak nie wrócicie, umrę — przysięgam!

ZAREMBA. Masz rację — jeżeli my zginiemy, to on ciebie i u Malinowskich znajdzie *(wbiega do swego pokoju i za chwilę wraca z pistoletami i sztyletem).*

(dając Zofii sztylet):

To mój ostatni podarunek dla ciebie! wiesz co masz z nim robić. Mam nadzieję że wrócę, dlatego bądź rozsądną i czekaj ostatniéj konieczności.

Polecam cię Bogu, córko moja! daję ojcowskie błogosławieństwo i pożegnanie. Idź tam—do matki, proś, niech twą modlitwę za nas zaniesie do Boga. — Żegnam cię!

SCENA IV.

ZOSIA *(sama).*

ZOSIA *(po chwili milczenia).* O matko moja! pierwszy raz dziecko twoje modlić się nie może. Zdaje mi się, że na sumieniu mojém ciąży krew ojca, brata

i . . . . oh! tak i jego. Matko ulituj się nademną, oświeć mój rozum, jestem ja winną?

O nie! gdyby tak było, niepatrzałabyś na mnie tém słodkiém spojrzeniem. Moje serce rwie się z boleści, ale jakiś głos wewnętrzny mówi: że tém cierpieniem, samą nawet śmiercią, spełniam obowiązek chrześcianki i Polki. To pewno twój głos, boś ty mi matko mówiła zawsze: że najwyszą cnotą kobiety jest miłość i poświęcenie. Dusza twoja święta widzi z nieba czystość moich zamiarów; jeżeli zbłądziłam, uproś mateczko dla nich ocalenie a przebaczenie dla mnie.

Niedługo może połączę się z tobą, niech duch twój będzie przy mnie w téj strasznéj ostatniéj chwili, w któréj ja sama . . . Ach! okropna chwila umierać i tak strasznie, kiedybym tak bardzo szczęśliwą być mogła! *(płacze)* Ale precz słabości, egoizmie! Oni tam może umierają już pod ciosami wrogów, a ja mam życia żałować. O nie! ja chcę, ja muszę umrzeć razem z wami! *(porywa sztylet).* To mnie od sieroctwa i hańby wybawi! to mnie czystą w twoje matko odda objęcia.

Żegnam cię życie, żegnam młodości i miłości moja! Żegnam cię bracie! tam w niebie u nóg matki uściskamy się, tam podziękujesz mi za męczeński wieniec, jaki mojemi rękami na skroń ci włożyłam!

Żegnam cię Władysławie! drogi mój kochanku, tyś mnie z żalem opuścił a może i potępił nawet! Mateczko jedyna, uproś u Boga, żebym ja mogła go jeszcze zobaczyć przed śmiercią, zdjąć z jego serca żałobę.

Niech ten ostatni głos mój dojdzie do twojego serca Władysławie; ja kocham ciebie, mój miły, każdą myślą, każdém uderzeniem serca. Posyłam ci pierwszy i ostatni pocałunek kochanki, niech on nas wedle życzenia ojca połączy z sobą na wieki!

(słychać szmer za drzewami).

Już nadchodzą! Matko ratuj! O żywéj mnie nie porwiecie! nie! Boże daj moc i pewność méj dłoni, daj skonać wpierw nim oni dotkną się mnie! Ach!

(wchodzi Władysław).

SCENA V.

ZOSIA, WŁADYSŁAW.

ZOSIA. Władysław! *(biegnie do niego).* Władysławie, ja niewinna, ja, ja kocham ciebie! przebacz co zrobiłam, chiałam ciebie ocalić—wróciłeś do mnie. O, to matka sprawiła—prosiłam, żebym cię mogła zobaczyć i powiedzieć . . . .

WŁADYSŁAW. Wiem wszystko, mówił mi ojciec, wielkie masz serce Zosiu!

ZOSIA. Wielki Boże! krew na twojéj głowie, i tu — na piersiach — tyś ranny, taki jesteś blady. Pomocy!

WŁADYSŁAW. Cicho, o mnie się nie bój, to nic, małe skaleczenie; ja przyszedłem ratować ciebie.

ZOSIA. Usiądź, mój drogi, zatamuję krew. Jak ty musisz cierpieć; brak ci sił. Boże, i to z mojéj przyczyny! Ty dałeś się zabić może, żem ci odebrała nadzieję, zraniłam okrutnie szlachetne serce, co mnie tak bardzo ukochało! O, mój Władysławie! czy ty przebaczysz mi to! Ale już wiesz, że życiem mojém chciałem twoje ocalić!

Ty nie umrzesz, ty żyć będziesz dla mnie; kiedy Bóg powrócił mi ciebie, to nie na to przecież, żebyś miał przy mnie umierać, ale żebym miłością moją nagrodziła twoją serdeczną boleść!

WŁADYSŁAW. O mów, tak, mów jeszcze! słowa te brzmią w duszy mojéj najwyższém szczęściem: cierpiałbym na nowo aby je znów posłyszyć. Twój głos miły koi boleść serca, twoje miłosne spojrzenie przypomina całe pasmo przebytych przy tobie chwil, świeci nadzieją przyszłego szczęścia!

Powtórz najdroższa że kochasz mnie; ja przestałem już wierzyć, że usłyszę z ust twoich to słowo, które świętym ogniem duszę ogrzewa.

ZOSIA. Słowo to całe życie powtarzać ci będę, a kiedy Bóg pozwoli nam połączyć się z sobą, to znajdziesz go żywe zawsze przy sobie w każdéj mojéj myśli i czynie, w każdéj dobréj czy złéj doli.

WŁADYSŁAW. Bóg mi pozwoli dowieść ci Zosiu, jak taki dar cenić potrafię.

(słychać hałas i krzyki).

Ha! zapomniałem w tém słodkiém uniesieniu *(zrywa się i chwieje).*

ZOSIA. Co to za krzyki? ty siły tracisz Władysławie, cierpisz strasznie, a tu znikąd pomocy!

WŁADYSŁAW. Uchodźmy ztąd! słyszysz? *(spoglądając w okno)* już wszystko skończone! widzisz ten pożar?

ZOSIA. Ach! co to jest?

WŁADYSŁAW. Moskale nas rozbili! teraz rabują wieś i świecą sobie do tego piekielnego bankietu. Barbarzyńcy! Zosiu, uchodźmy na Boga! oni tu przyjdą niebawem i nas pochwycą. Mam tu konia, przy tym pożarze ciemno wokoło, zawiozę cię do mego domu, a odemnie pojedziesz natychmiast do ciotki. Ja tam do ciebie przyjadę.

ZOSIA. Władysławie, co ty mówisz? a gdzież mój ojciec, Staś?

WŁADYSŁAW. Staś — tam, w niebie — dał mi swój pałasz żebym go ojcu oddał.

ZOSIA. Nie żyje! jest już u matki, a ja o szczęściu ziemskiém marzyłam! przebacz bracie! A ojciec? jemu nic złego nie stało się, czemu nie przyszedł — mówże Władysławie, nie męcz mnie! Zostawiliście go samego — to źle.

WŁADYSŁAW. Nie odstąpiłbym go bez wyraźnego rozkazu. Przynoszę ci Zosiu ostatnią jego wolę.

ZOSIA *(upada na kolana).* Więc i on . . . .

WŁADYSŁAW. Tam!

ZOSIA *(po chwili bolesnego milczenia).* Władysławie! doprowadziłeś mnie do ciężkiego grzechu — wiedząc żem sierota, w ciężkiéj żałobie, pozwoliłeś, bym się ziemskiéj radości i szczęściu oddała *(płacze).* Przebacz Władysławie, że raz jeszcze serce twoje dotknę boleścią. Słowa mego nie cofam, kocham cię — Bóg to słyszy — jestem twoją oblubienicą, ale połączemy się dopiero tam, gdzie teraz mój ojciec, brat. Ja tak im, matce i Bogu przysięgłam!

WŁADYSŁAW. Ojciec twój inną wskazał ci powinność. Rozkaz jego świętym był zawsze dla ciebie; témbardziéj obowiązuje cię do posłuszeństwa ten, jaki w chwili skonu zostawił. Tyś dziś sierota, ja ci rodzinę zastąpię, dam schronienie i opiekę, miłością moją w żalu utulę. Bądź posłuszną takiéj woli ojca, wysłuchaj prośby przyjaciela i kochanka. Ojciec rozkazem swoim rozgrzeszy cię z przysięgi, i za skutki swéj woli, zda sprawę Bogu i matce twojéj.

ZOSIA. Nie mogłabym być szczęśliwą, pomiędzy nami stałyby zawsze trupy ojca, brata: których na śmierć poprowadziłam.— A! jabym przy ołtarzu skonała!

(słychać krzyki).

WŁADYSŁAW. Zofio! zlituj się nad sobą i nademną! Słyszysz, nadchodzą! Spiesz się na Boga — czuję że mnie siły opuszczają — chodź, nie opieraj się — zginiemy oboje.

ZOSIA. Jak ty się zmieniłeś *(podtrzymuje go).*

WŁADYSŁAW. Chodźmy — mocą miłości zbiorę ostatek sił, aby mi ich jeszcze wystarczyło na twoje ocalenie.

ZOSIA. Przysięgłam ojcu: że jeżeli nie wróci — umrę.

WŁADYSŁAW *(z wysileniem).*

Pamiętaj Zosiu o tém, że nim umrzesz, czeka cię . . . .

Szkic humorystyczny W. S.

Z Pamiętników sztuki lekarskiéj.



Doktor Oftalmicki. O! cóż to w oczy?

Pacjent. A dyć na jedno jestem ślepy, a na drugie *tylko* nie widzę.

Dr. Oftalmicki. A czemuż nie idziesz do kliniki — jest tam sławny doktor Oftalmicki, on niezawodnie potrafi cię uleczyć.

Pacjent. Nie głupim — dyć to właśnie on co mnie oślepił.

Dr. Oftalmicki *(d. s.).* A tom się złapał — nie poznałem pacjenta.

SCENA VI.

ZYGMUNT *(za sceną).*

Szukajcie ich wszędzie — wy, chodźcie tu ze mną. *(wchodzi).* Ha, gołąbki, jak się to znaleźli. Zemknąłeś paniczu z pola bitwy, miałeś rozum, tu lepiéj niż tam. *(do żołnierzy).* Na bagnety go!

ZOSIA *(podbiega ze sztyletem w ręku i zasłania sobą omdlałego Władysława).*

ZYGMUNT *(do żołnierzy).* Stójcie!

ZOSIA. Pierwéj mnie musisz zamordować *(do zbliżającego się Zygmunta).* Ani kroku daléj, bo zabiję się sama!

ZYGMUNT *(mierząc do niéj z pistoletu).* Umieraj więc!

ZOSIA *(po chwili).* Czemuż nie strzelasz? — Zygmuncie! jakże ty nizko upadłeś. Czymże ty jesteś? Wyrzekłeś się ojczyzny; krwią braci i dobroczyńców twoich oblałeś miejsca te, gdzie się urodziłeś! starłeś z siebie wszelką godność ludzką, bo schańbiłeś się podstępem i zdradą jako Polak i człowiek! Nic zostało w tobie nic— bo nie masz nawet odwagi być do końca zbrodniarzem.

Patrz, jak potężną jest cnota i prawość! oto ja, słaba dziewczyna, drwię z waszych bagnetów, odrzucam i tę ostatnią broń moją *(rzuca sztylet)* i idę śmiało między was, oddaję cześć moją i życie w ręce takich jak wy, zbójców okrutnych! Niczém dla mnie męczarnie i śmierć, do tego mnie skłania i umacnia potęga miłości dla ojczyzny, ludzkości i Boga, i ta wiara, że poświęcenie się moje przyda listek do wieńca wiekuistéj chwały, i jaki ludzkość wkłada na głowy męczenników wolności i godności człowieka. Patrz *(wskazując na Władysława)* jak się na ten wieniec chwały zarabia — patrz, to nowy męczennik a ofiara twojéj nikczemności i zdrady — ofiara dzikiego caryzmu!

ZYGMUNT *(rzuca się ku niéj z pistoletem).*

Zosia *(wstrzymuje go ręką i wskazuje na drzwi).* Wychodź ztąd, daj mu umrzeć spokojnie, wrócisz później, po ostatnią tu twoją ofiarę — po mnie.

Zygmunt *(ociągając się wychodzi powoli—zasłona spada).*

Teatr. — *Dramata Dumasa na naszéj scenie. „Dama z kamelią" i „Panna de Belle-Isle."*

W braku dostatecznéj ilości oryginalnych polskich sztuk wartości scenicznéj, uciekać się często musi dyrekcja naszego teatru do tłumaczeń, których wybór nie zawsze zdaje się nam być szczęśliwym. Scena jest niejako obrazem najbardziéj charakterystycznych momentów życia towarzyskiego, wpływ jéj zatém wówczas dopiero może być zupełnym, jeżeli widzowie mają przed sobą roztoczoną panoramę tych właśnie stosunków pośród których żyją, z któremi osobiście do walki występują. Inaczéj będzie to tylko kontemplacja obrazów nieznanego im zupełnie życia, wrażenie nie przeżywające ostatniego aktu.

Czy to będzie Dumas, Sardou, Augier, Feuillet, czy téż Gutzkow, Laube, Brachvogel, Seuferd, Putlitz, publiczność nasza wychodząc z teatru, ma prawo powiedzieć sobie: „może być że to jest bardzo ładne, ale ja tego tak dobrze nie rozumiem."

Od śmierci Korzeniowskiego i milczenia Fredry, dramaturgja nasza leży w przeważnéj części ugorem, jeżeli więc ludzie takiego talentu jak np. Bałucki i Urbański cokolwiek pilniéj uprawiać jéj nie będą, to dyrekcja mimo najlepszych chęci uciekać się będzie musiała do tłumaczeń, i dawać publiczności tak mało zrozumiałe dla niéj sztuki, jak np. „Dama z kamelią."

Febryczne życie paryzkiego *demi-monde* dostarczyło Dumasowi wdzięcznego bardzo przedmiotu do tego dramatu, napisanego z całą elegancką zręcznością i werwą, przymiotami, będącemi jakby wyłączną własnością tego autora. Dumas malujący *con amore* ów pół-świat z którego powstał, jest mistrzem; żeby jednak dzieło jego zrozumieć i ocenić, trzeba być na to jeżeli już nie paryżaninem, to przynajmniéj dobrym znajomym tego *światka*, mającego swój osobny tryb życia, osobny kodex moralny, różny zupełnie od drugich sposób widzenia rzeczy — słowem, inne zupełnie pulsa żywotne, inne ruchy, zwyczaje i obyczaje.

Jeżeli więc trudném jest pojęcie właściwéj natury takiego przedmiotu dla publiczności, to położenie artystów było nierównie trudniejsze, z którego jednak wywiązali się nad nasze spodziewanie, odgadując intuitywnie wiele bardzo z tych subtelnych sytuacji, pośród których francuzcy ich koledzy poruszają się z naturalną łatwością.

Osnowa „Damy z kamelią" jest nader interesującą, a miejscami nawet żywość dyalogu pozwala zapominać że jesteśmy w teatrze.

Une femme perdue *Henryeta Gauthier* (p. Nowakowska) zrywa swoje zyskowne stosunki z hrabią *de Giray* (p. Wolski), a to przez miłość dla *Armanda Duval* (p. Ładnowski), kochającego ją nawzajem całym szałem namiętnego uczucia.

Miłość ta (dzięki Bogu niepraktykowana jeszcze w podobnych warunkach pośród naszego społeczeństwa) podnosi Henryetę z upadku, uszlachetnia jéj serce i obudza w nim nieznane mu dotąd tętna. Zmartwychwstała duchowo i moralnie Henryeta, zrywa z przeszłością i wyjeżdża na wieś pod Paryżem, aby tam oddawać się swobodnie miłości w któréj odżyła. — Tak upływa miesięcy kilka. Pod nieobecność *Armanda* zjawia się u Henryety ojciec jego *Duval* (pan Benda) i przedstawiwszy jéj, że całe szczęście, cały los Armanda i jego rodziny zawisł od zerwania tych stosunków, wywołuje w piersi Henryety tytaniczną walkę, kończącą się zrzeczeniem praw serca, praw bytu dla dobra kochanka.

Wprowadziwszy nas na ten koluminacyjny punkt dramatycznéj sytuacji, przedstawia Dumas całą grozę położenia nieszczęśliwéj Henryety. Wyrzec się kochanka jest tu za mało, trzeba go odtrącić w ten sposób, aby złamane jego uczucie nigdy się już nie odezwało, trzeba zatém zabić w nim wiarę a w sobie cnotę — trzeba znowu upaść.

Bohaterska Henryeta, tak ją bowiem fantazja Dumasa uformowała, wraca do Paryża, a oczywiste jéj stosunki z p. *de Vorville* (p. Eker) leczą Armanda a raczéj oddalają kosztem bezustannych konwulsji duszy, trwających aż do chwili gdy u stóp konającéj przez cały ostatni akt kochanki, dowiaduje się niestety zapóźno o prawdzie i niesłychaném jéj poświęceniu się.

Wszystkie zalety i wady utworów Dumasa występują w téj sztuce jak na dłoni, zwykła zaś jego chęć wywyższenia kobiety upadłéj nad kobietą uczciwą nietylko spełzła tu na niczém, ale dała nowe świadectwo téj wielkiéj prawdzie, że kobieta która raz podeptała wszystko to co dla niéj świętém być winno i drogiém, niczego się już na tym świecie spodziewać nie może, piętno które na jéj czole wycisnął błąd, maże tylko — śmierć!

Gra artystek naszych była biorąc częściowo bardzo dobra. Pani *Ekerowa* w roli *Prudencji* oddała typ ten z całą prawdą jaką tylko oryginał dać może, jéj ruchy, głos i cały sposób zachowania się na scenie, nie zostawiły nic do życzenia i zadowolnić mogły praktycznych znawców.

Pani *Nowakowska*, któréj piękny talent zbyt dobrze jest znany abyśmy go każdą razą podnosić mieli, dała nam bardzo sympatyczną Henryetę; ponawiamy jednak uwagi dotyczące nazbyt może wycieniowanego i wystudjowanego pozowania, i dodajemy dla jéj specjalnéj wiadomości, że Henryeta w Paryżu i Henryeta na wsi, są to dwie wewnętrznie różne osoby, że zatém okoliczniści téj przy następném przedstawieniu „Damy z kamelią" z uwagi spuszczać nie powinna. Zresztą nieznajomość natury owego paryskiego *demi-monde* tłumaczy najzupełniéj jeżeli *ensamble* gry i *mise en scène* okazywało miejscami pewne niedostatki.

Czasy obydwóch Ludwików francuskich i Regencji tak już ze wszystkich stron wyczerpnięte zostały, że o osnutéj

na tém tle miernéj komedji Dumasa p. t.: „Panna de Belle-Isle“ nie warto byłoby wspominać, gdyby nie pierwsze wystąpienie p. *Parżnickiéj* w roli tytułowéj.

W szczegóły gry téj artystki tą razą wchodzić nie będziemy, wyznać jednak należy, że dyrekcja świetny bardzo zrobiła nabytek angażując p. Parżnicką do ról dramatycznych serjo, które koniecznego dopełnienia wymagały. Raz dopiero mieliśmy sposobność widzieć p. P., przekonaliśmy się jednak, że posiada ona nietylko talent, ale ów spokój akcji jaki tylko pewność siebie daje, umiarkowaną pewną skalę głosu i tę bardzo rzadko spotykaną na scenie naturalność, która tak widzów zniewala.

PP. Parżnicka i Nowakowska wypełniwszy obie kategorje dramatycznego fachu, ukoją zapewne gorzkie żale za p. Modrzejowską, które wielu bardzo osobom nie pozwalały oddać przynależnéj sprawiedliwości innym naszym artystkom. *O...le.*

α. δ. **Kronika**. — *Morderstwo Traupmana i.... o mało co nie drugie morderstwo w Krakowie. — Wsiadając do omnibusu, pamiętaj brać ze sobą oddział straży ogniowéj.*

Całe dziennikarstwo zagraniczne, a za niém i nasze delektuje się okropną zbrodnią *Traupmana*, człowieka, który pewnego pięknego poranku wymordował całą rodzinę *Kinków*, tojest ni mniéj ni więcéj tylko ośm osób. A działo się to wszystko w okolicach Pantin pod Paryżem. — Wyobrazić sobie można, co to za rozkosz dla paryżan mówić o *prawdziwéj zbrodni*, zbrodni, która *rzeczywiście* została spełnioną. Ręczę, że literatura francuzka po tym wypadku, poskoczy o jakie pięć morderstw na tomie, a *le petit journal* na nowo zacznie nieśmiertelną powieść *la Rocambole*, w któréj autor na jednéj stronnicy popełnił ośmnaście morderstw rozmaitéj natury.

Przypomina mi to pewien polski dramat, w którym osoby działające przez cztery akta jedzą i piją, w piątym atoli nieszczęście! na raz trzech bohaterów umiera z niestrawności, czwarty zaś zatruty, jest nadzieja, że lada chwila skończy — po zapadnieniu kurtyny.

A kiedy już za główny temat dzisiajszéj kroniczki obraliśmy niechcący morderstwa, to opowiedzieć muszę dla wiadomości turystów podróżujących po Krakowie omnibusem — jak, o mało co nie popełniono morderstwa na mojéj własnéj bagateli, w chwili, kiedym odbywał podróż za pomocą omnibusu, na drodze od Podgórza do stacji kolei żelaznéj.

Nie przerażajcie się atoli proszę, piękne moje czytelniczki, najlepszym bowiem dowodem mojego życia jest dzisiajsza kronika.

Ale wróćmy do samego faktu. Przerażający jest i okropny. — Wyobraźcie sobie panie .... Wsiadłem do omnibusu, w którym jakaś jejmość mójżeszowego wyznania wiozła ogromną pakę zapałek. Ponieważ zaś dzień był gorący, para z siarki i fosforu o mało mnie nie udusiła. — Nie znając prawa, nie wiem kto byłby odpowiedzialny za moje własne życie, czy konduktor omnibusu, czy jejmość, czy wreszcie sam powód to jest zapałki? — W każdym razie na przyszłość jeśli komu przyjdzie ochota puszczać się w podróż tak niebezpieczną — niezawadzi spytać się konduktora czy nie wiezie bagaży palnych zamiast passażerów, a przynajmniéj zaasekurować swój żywot w Towarzystwie ubezpieczeń od ognia. — Przypuśćmy bowiem gdyby się zapałki zapaliły były?!

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

(Poezye p. „El...y“. Lwów, nakładem Wilda. 1869. — „Na wędkę“ powieść p. Wołodego Skibę. Lwów, wydawnictwo Mrówki. 1869. — Broszury).

Jeżeli przykrym jest obowiązek recenzenta karcić pretensjonalne próbki aspirantów pióra, to doznaje on prawdziwéj, dziś niestety rzadko zdarzającéj się roskoszy, polecając czytelnikom z tak przepysznych kwiatów ułożony bukiet, jakim jest zbiorek poezji p. El...y. Jednogłośne pochwały, któremi krytyka i publiczność literalnie zasypała młodego poetę, mogłyby nas uwolnić od wypowiedzenia naszego zdania; przez wzgląd jednak na te czytelniczki, które nie miały sposobności czytania zamieszczonych już krytyk, krótką wzmiankę uczynić tu musimy.

Jak farby ręką mistrza rzucone na płótno z harmonii światła i cieniów tworzą wspaniały obraz idealnego i realnego piękna, tak myśli p. El...y przeniesione na papier, otwierają nam podwoje bezmiernych sfer fantazji i téj prawdy, którą tylko niepospolity duch odczuć, poznać i wypowiedzieć jest w stanie. Ileż to trzeba było głębokich cierpień, ilu rozczarowań i krwawych z życiem zapasów, ile walk z samym sobą, ile skarbiących wiedzę prac umysłu, aby przeskoczywszy liczne szczeble mdłego sentymentalizmu i rozpaczliwego zwątpienia, stanąć na wyżynie spokoju, a owładnąwszy wszystkiemi bogactwy języka i dyktaturą słowa, siać dokoła subtelnym pyłkiem ironii i palącemi iskrami satyry.

O porównaniu p. El...y z którymkolwiek z nowszych naszych poetów mowy nawet być nie może, różnica bowiem zachodzi nietylko we wzroście umysłowym i sile ducha, ale w saméj formie i wyborze przedmiotów. Wiersz p. El...y płynie nadobnemi falami głębokiéj świadomości piękna, nie zaś łzawistym strumieniem szlochającego dziecka, dotyka on także wybrzeży wydeptanéj niezgrabnemi stopy liryki, lecz nie dopuszcza się denerwującéj kokieterji z narodowym nieszczęściem, które inni amatorzy wierszowania bezustannie na tortury wystawiają. Co do nas, to zgadzamy się chętnie i we wszystkiém z p. El...y — zgodzi się też z nim każdy, komu drapieżny sęp życia gorącą pierś lodowatemi szarpał pazury; jako krytyk jednak, zastrzedz tu musimy, że takie dozy goryczy, jakie p. El...y w „Julianie Apostacie“ i „Apostrofie“ i kilku innych ustępach podaje, dla wielu czytelników trucizną być mogą.

Zdarzało się nam słyszeć ludzi nazywających pana El...y polskim Horacjuszem lub Heinem, podług nas, pan

El...y jest polskim oryginalnym El...ym — w tym leży całe jego znaczenie i zasługa.

Słabsze nierównie od zbiorku poezji są obie komedje tegoż autora: „Gałązka Heliotropu“ i „Walka stronnictw,“ o nich jednak inną razą mówić będziemy, przechodząc na teraz do nowéj powieści p. *Wołodego Skiby*, pod tytułem: „Na wędkę.“

Szanowny autor nazwał krótką powiastkę: „fotografią bez retuszu“ na co nie zupełnie zgodzić się możemy. Jakkolwiek bowiem na kliszy znanego powszechnie talentu p. Skiby odbiła się właściwie jedna tylko postać pułkownika Iwana Iwanowicza Chwostowa, to przecież autor nadał jéj tak charakterystyczno-wybitne kontury i z tak szczęśliwym retuszował ją humorem, że biegłości téj nie wyparłby się żaden z renomowanych retuszerów. Wprawdzie inne postacie są znowu zupełnie zatuszowane, a całość o palmę idealnéj prawdy ubiegać się nie może, życiowa jednak prawda występuje tam w całéj nagości i zmusza nas niejako do serdecznego śmiechu z pra, pra Chwosta i litości nad biednym Pakiewiczem.

Z pomiędzy nadesłanych nam do oceny książek, leży przed nami kilka rozprawek w formie broszur wydanych. Pierwszą z nich jest „Młodość Fryderyka Szopena“ przez *Maurycego Karasowskiego*, zawierająca wiele ciekawych szczegółów z życia tego wielkiego artysty i korespondencją jego z rodziną i przyjaciołmi.

Druga rozprawka, którą czytelniczkom naszém polecić możemy, zawiera studjum historyczno-obyczajowe przez prof. szkoły głównéj Warszawskiéj Dra *Jana Wolframa* p. t.: „Rzymianka.“ Uczony autor wychodząc z założenia że upadek narodów datuje się wszędzie w historji od upadku moralności i cnót, a upadek cnót od upadku kobiet, przechodzi w bardzo treściwym a na sumiennych badaniach źródeł opartym zarysie historją działalności i wpływu kobiet w Rzymie od powstania tego państwa do jego upadku. Z rysu tego powezmą czytelniczki jasne wyobrażenie jak ważną jest rola kobiety w dziejowym rozwoju narodu i państwa, przekonają się dobitnie, że wady zarzucane dzisiaj kobietom przez nieprzyjaciół fałszywie pojmowanéj emancypacji, znane już były w świecie starożytnym i niemało przyczyniły się do rozkładu i upadku ówczesnego społeczeństwa.

Czyżby dzisiaj miało być inaczéj? Spojrzmy dokoła co jest, porównajmy z przeszłością i zapytajmy samych siebie: „cóż będzie daléj?!“ *O...le.*

Szanowny Redaktorze!

Jakkolwiek nie wątpię, że wszystkie czytelniczki „Kaliny“ przykładają się jak najchętniéj i czém która może do szerzenia oświaty między ludem, nie od rzeczy sądzę będzie, gdy zechcesz za pośrednictwem Guttenbergoskiéj sztuki zapoznać je z jedną z najżarliwszych pracownic na tém polu, chociażby dla tego już tylko, że niejednéj zapewne w podobnych znajdującéj się warunkach, ani przez myśl nie przeszło w jak silny sposób oddziaływać może.

W tym celu przesyłam ci ustęp z listu mego przyjaciela, w którego-to majętności owa krzewicielka najpożywniejszego przyznasz ziarna—sieje i zbiera te nieoszacowane plony.

„Narzekamy wszyscy na ciemnotę gminu.

„Wielu myślicieli całe ryzy sarkazmów rzucało i rzuca „w oczy władz odpowiednich — przypisując im, już to nie„dołęztwo, już to złą wolę...

„Wprawdzie, z wielu względów trudno im nie przyznać „racji—co do mnie, wyznam szczerze, niedołęztwo to i tę złą „wolę czy niechęć, raczéj w nas samych niż gdzieindziéj widzę.

„I tak: u mnie, wszyscy włościanie czytają, piszą i ra„chują, chociaż trzykrotnie odmawiano mi założenia szkółki. „Jak do tego doszli, i kiedy, sam nawet nie umiem sobie „zdać sprawy.

„Z razu, gdy pracowita guwernantka mych dzieci otwo„rzyła u siebie kurs elementarny podczas zimowych wieczo„rów, uczęszczało ich trzech zaledwie.

„Martwiło ją to ogromnie. Postanowiła więc słowem tra„fić do przekonania rodziców, a rozmaitemi obietnicami za„skarbiać chęć i przychylność dzieci; niebawem téż zyskała „i jedno i drugie.

„Z końcem stycznia, pierwszego roku próby, liczba uczni „doszła do dwudziestu kilku. Sama więc wystarczyć im już „nie mogła. Wezwała zatém pomocy méj żony i dzieci.

„Z jakąż to satysfakcją, z jakiém zadowoleniem ci uczyli, „a tamci pochłaniali każde słowo nauki!...

„Tak trwało przez trzy zimy z kolei, od 1856 — 59 r.

„Poczém uczniowie powychodzili na nauczycieli: Rodzice „uczyli starsze swe dzieci, a te podrosłszy, młodsze znów „swoje rodzeństwo.

„Tym sposobem każdy dom stał się szkołą.

„Wszyscy umieją to, co im niezbędnie umieć potrzeba. „Zdolniejsi nawet, zrobili sobie z nauki rzemiosło: chodzą „po sąsiednich folwarkach i tam tenże sam starają się plan „przeprowadzić.

„Kilku z nich kończy o własnych siłach gimnazjum, dwóch „przeszło na uniwersytet, a od czasu tego zbliżenia się ze „wszystkiemi umysłowo, przyznam ci się, że nie rozumiem „co to jest zatarg jaki, który nie załagodzilibyśmy między „sobą polubownie!... Oto są skutki dobréj woli i umiejętne„go zużycia czasu!...

„Dzisiaj potrzeba nam tylko odpowiednich książek, o które „bezustannie nalegani przez nich jesteśmy!... A pamiętaj „nadto, że w najnieprzyjaźniejszych zostawaliśmy warunkach: „pod rządem moskiewskim... w Kongresówce!?...“

Czyż tak wymowny fakt nie dość jasno tendencję moją tłumaczy?... *A. E.*

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera. Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*